

Zabraniam skakać po mojej historii

Przedstawienie o „wypadkach marcowych” Monika Strzępka z Pawłem Demirskim zapowiadali od lat. W Teatrze Żydowskim w Warszawie powstał spektakl zaskakująco melancholijny.

WITOLD MROZEK

Miało być prowokacyjnie. Dla części elit Marzec to przecież mit założycielski opozycji demokratycznej, dla inteligencji - memento, że ledwo dwie dekady po Holocauście znów można było użyć politycznie demona antysemityzmu. Tymczasem dramaturgia Demirskiego z bojowej i zaczepnej staje się coraz bardziej melancholijna. Wystawione właśnie w Teatrze Żydowskim w Warszawie przedstawienie „Marzec '68. Dobrze żyć - to najlepsza zemsta” nie do końca jest nawet o Marcu. Wydarzenia sprzed 48 lat nie są tu prefiguracją wzbierającego znów nacjonalizmu. Nikt też nie rozlicza się tu z Kuroniem czy Michnikiem. Powstał spektakl o zagubieniu i lęku przed historią i polityką, która ludzkie życiorysy obraca w swój nawóz.

Wyjeżdżający z Polski Żyd rzuca wprost w widownię: „Do czego jestem komu potrzebny. Jak się okazuje, żeby udowodnić swoje poglądy. Nie mam na to zgody. No, ale jak się okazuje, mało mam do powiedzenia w tej sprawie. Wszyscy wiedzą lepiej ode mnie na mój temat. I sobie będą teraz skakać po mojej historii”.

Wypowiadający te słowa główny bohater, Ojciec (Henryk Rajfer), to postać jak z Różewicza. Niczym Bohater „Kartoteki” zanurzony jest w różnych czasach i przestrzeniach - nie wiemy, kiedy jest w Szwecji, kiedy w Izraelu, Polsce współczesnej czy tej z 1968 r. A może, jak sugeruje początek spektaklu, przebywa w zaświatach, gdzie razem z duchem żydowskiego komika (Wojciech Wiliński) ogląda sceny ze swojego życia i z historii na wiekiustym „YouTube-party”? Spektakl otwiera obraz śpiewającego Mickiewiczowskim wierszem Guślarza (Genady Iskhakov) z krzyżem i brodą - odwołanie do zdjętych przez cenzurę „Dziadów” Kazimierza Dejmka z Teatru Narodowego.

Marzec pozostaje w „Dobrze żyć...” anegdotą - z „Dziadami” czy Dworcem Gdańskim, skąd polscy Żydzi odjeżdżali pociągami do Wiednia. Historia w tym spektaklu to głuchy telefon. Weźmy spektakl Dejmka - nikt tu już dokładnie nie pamięta, jak to z tą prowokacją na widowni i protestami było. Na przyjęciu krąży plotka o języku polskim, którym przez radio mieli mówić izraelscy żołnierze, by zmylić swych arabskich przeciwników - ale czy to prawda? Płaczą się relacje o rzeźkowej „libacji” w redakcji „Przyjaciółki” z okazji końca wojny sześciodniowej - historia, która posłużyć miała jako młot na „syjonistów”. Gomulka (świetny Ryszard Kluge) zrosnięty jest na stałe z mównicą, z której bez większego przekonania powtarza w kółko swe przemówienia.

Muzyka Stefana Wesolowskiego, grana na żywo, wciąga w niepokojącą aurę. Tajemnicza kobieta ucharakteryzowana na postać diabolicznego konferansjera z „Kabaretu” (Ernestyna Winnicka) śpiewa upiorny song o lepieniu poglądów z postów w mediach społecznościowych - i o przekształcaniu poglądów w kije, którymi można się okładać. Zwichrowany tekst łączy

strumień słów kluczy: („Uchodźcy”, „Rosja”) ze strzępkami wiersza Tuwima o strasznych mieszczanach („Wartwami rośnie brednia potworna”). Czuć w tym wyczerpanie jałowością polskich dyskusji, w których przecież Strzępka i Demirski brali i biorą udział.

I tylko czasem idą w groteskę sztytą prowokacyjnie grubymi nićmi, jak dawniej. Taka scena: polscy antysemitę też chcą dostać „dokument podróży” i wyjechać z kraju, w końcu - jak utrzymują dziś prawicowi historycy - PRL to piekło na ziemi. „Kowalski? To ma być żydowskie nazwisko?” - dopytuje jednego z nich urzędniczka. „Zmienione” - próbuje się ratować osiłek, żywcem wzięty z szeregu bijącego (nieobecnych tu) studentów UW. Ale niestety, pomysł nie przejdzie.

Na melancholijny humor „Dobrze żyć...” nakłada się specyfika Teatru Żydowskiego, w ostatnim roku przeżywającego renesans, ale przez dekadę kojarzonego stereotypowo z archaicznym szmoncesem. Nawiązania do tej specyfiki pojawiają na zasadzie ostentacyjnie czerstwego żartu. „Nie mądrz się po żydowsku!” - krzyczy wyrzucany z Polski Żyd do córki.

Depresja i terapia to dwa powracające od kilku lat w twórczości Demirskiego wątki. Ojciec chce znów być dzieckiem, przerastają go decyzje - w tym ta o wyjeździe, przerasta frakcyjna walka w partii. Ale „Dobrze żyć...” to nie jest realistyczny dramat egzystencjalny marcowego emigranta. Ojciec szuka raczej miejsca, w którym mógłby znaleźć spokój. Wyrzucający Ojca z Polski Moczar (Piotr Siercecki), podobnie jak polskie społeczeństwo, od czasu do czasu wstrząsany jest paroksyzmami antysemityzmu. Bezskutecznie próbuje wyleczyć go psychoterapeuta (Ewa Greś). Z drugiej strony, Moczar cynicznie powtarza - to po prostu najskuteczniejsza strategia, by odnieść sukces w politycznej walce. „Tu nawet komunizm musi być narodowy” - rzuca.

Jednak i on szybko zostaje odsunięty od realnej władzy - ledwo chwilę po sukcesie. Tu nikt nie wygrywa. Gomulka obsesyjnie i beznadziejnie redaguje poddawane cenzurze książki. Historycy i politycy redagują wspomnienia, życiorysy, pamiętnik Ojca - by ustawić go pod swoje tezy. Zresztą historyk i polityk to jedna osoba. W „Dobrze żyć...” historycy cały czas są obecni.

W głośno dyskutowanych spektaklach duetu - „Dziadach. Ekshumacji” (2007), „Niech żyje wojna!” (2009) czy „W imię Jakuba S.” (2011) - historia była ukazana jako pole walki. Opowiadania przeszłości uprzywilejowani używali po to, by panować nad słabszymi, niezależnie od tego, czy chodziło o pamięć rabacji galicyjskiej, o II wojnę i PRL czy o mienie żydowskie. Najnowszy dramat Demirskiego jest z kolei melancholijno-nie możliwą próbą ucieczki z historii w ogóle. Ojciec powtarza: „Najbardziej tak naprawdę tęskniłem za przyrodą” - i to w naturę chciałby uciec. Powracający sen o pośmiertnej zamianie w modrzew pokazuje poetycki zwrot w tej dramaturgii. ●

Paweł Demirski „Marzec '68. Dobrze żyć - to najlepsza zemsta”.

Reż. Monika Strzępka, scenografia Martyna Solecka. Premiera: 14 maja 2016, Państwowy Teatr Żydowski, Warszawa.